

Prof. Andrzej Mencwel: Tradycja do remontu

Musimy dokonać naprawdę gruntownej rekompozycji całego zastanego układu pamięci i tradycji, zwłaszcza dlatego, że jest on pokawałkowany i złożony ze sprzecznych nierzadko składników. Gruntowność tej rekompozycji sięga nie lat kilkunastu czy kilkudziesięciu, ale kilku wieków, a może i całego tysiąclecia. Przed kilku laty napisałem, że czeka nas „debatą tysiącletnia”, i nie mam powodu zmieniać tej opinii – pisze prof. Andrzej Mencwel

Nie lękam się propagowania historii. Choć, rzecz jasna, najpierw chcę wiedzieć, jaka to ma być historia? I nie zrzeknę się udziału w redagowaniu odpowiedzi. W kwestii polityki historycznej niefortunna jest sama nazwa. Ukuli ją współtwórcy tego pomysłu (podobno wzorem Niemców), ale nawet oni do niej nie są przywiązani. Właściwie nikomu, zarówno zwolennikom, jak i przeciwnikom, ona się nie podoba i nawykowo już zgłasza się do niej zastrzeżenia. Nazwa ta budzi głównie negatywne skojarzenia – już to z propagandą, już to z manipulacją. Jedno i drugie odsyła do PRL, w której ze zmienną skutecznością propagandę taką i manipulację ciągle uprawiano. Toteż odesłaniami do tamtych czasów i praktyk szafują chętnie przeciwnicy polityki historycznej, zwolennicy z kolei solennie recytują zapewnienia. Niechęć ta jednak, jak to już bywało, nie zmniejsza użyteczności samej nazwy, toteż jest ona ciągle w obiegu. Jakoż od ponad roku, to znaczy od czasu ukazania się wydanego przez Muzeum Powstania Warszawskiego, programowego poniekąd, zbioru pt. „Polityka historyczna”, dyskutuje się o tym pomysle, choć znaczna część

polemistów dowodzi, że go odrzuca. Niechęć do nazwy, przymus odrzucenia oraz trwałość dyskusji wskazują, że coś tu naprawdę zostało trafione.

* * *

W tym roku ukazały się ponadto trzy znamienne książki współautorów tej koncepcji (Marek A. Cichocki, „Władza i pamięć”; Dariusz Gawin, „Polska, wieczny romans”; Dariusz Karłowicz, „Koniec snu Konstancyjna”, wszystkie wydane przez prawicowy Ośrodek Myśli Politycznej w Krakowie w roku 2005), więc zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy polityki historycznej dostali dobrą dawkę podnieć. Okazało się ponadto, że zwolennikami tej koncepcji są Kazimierz Michał Ujazdowski i Tomasz Merta, którzy choć kierują Ministerstwem Kultury (nazwa oficjalna dużo dłuższa), występują także jako publicyści. Towarzyszy im Paweł Kowal, do niedawna przewodniczący odpowiedniej komisji sejmowej, a obecnie wiceminister spraw zagranicznych. Ten splot wypowiedzi eseistycznych z publicystyką rządowych oficjałów czyni sytuację nieprzyjemnie interesowną. Chętnie pospierałbym się o Sienkiewicza z Dariuszem Gawinem albo o Reymonta z Markiem Cichockim, ale muszę myśleć o tym, co przedsięwzięli ministrowie. Dyskutuje się tu zatem nie tyle z autorskimi interpretacjami, ile z politycznymi pomysłami, które większość rządu czyni praktyką. Muzeum Historii Polski nie ma jeszcze ideowego kształtu, a o jego budowie już zdecydowano. Ponieważ zostanie ono urządzone przynajmniej na pokolenie, nie wolno go opuścić.

* * *

Odnoszę się z uznaniem do trzech autorów, choć się z nimi nie zgadzam. Wystąpili oni z książkami eseistycznymi napisanymi ze znanstwem i z rozmachem, z kulturą słowa i myśli, trafiającymi w żywy splot historii idei i polityki, literatury i filozofii. Dwie z tych książek, mianowicie „Władza i pamięć” Cichockiego oraz „Polska, wieczny romans” Gawina, odnoszą się polemicznie do „Przedwiośnia i potopu”, który wydałem w roku 1997, więc niezależnie od słuszności zasługują na moją uwagę. Dariusz Karłowicz w swoich „szkicach z życia codziennego idei” wykazuje taką zdolność filozoficznego opisu powszedniości, że, jeśli nie utknie w politycznej doraźności, można mu wróżyć świetną przyszłość pisarską. Trzeba podkreślić, że książki te dojrzały dość długo, w małym kółku dyskusyjnym, w innym otoczeniu ideowopolitycznym. Zostały poczęte wcześniej od tej zmiany politycznej, jaka posługuje się hasłem „IV Rzeczypospolitej”, a dopiero ich publikacja się z tą zmianą zbiegła. Nie można więc autorów podejrzewać o taktyczny koniunkturalizm i to niezależnie od tego, w jakim stopniu wiążą się z obecną ekipą rządzącą. Ich książki zostały przemyślane, przedstawiają zasadniczo spójną koncepcję i tworzą znamienne konstelacje intelektualną, jakiej nie mieliśmy od dawna. Pozostaje zasługą trojga obiecujących eseistów, że sprowokowali dyskusję, która na razie polega głównie na odrzucaniu tez i odpychaniu autorów.

* * *

Nad odrzucaniem oraz odpychaniem można się osobno zastanowić i zapytać, jaki udział w tym przykrym dość odruchu mają sami autorzy, a jaki tak zwana opinia. Jeśli idzie o autorów, to krytycznej refleksji nad tym, co napisali, nie służą na pewno ich zbyt jednostronne opinie o

dziedzictwie III Rzeczypospolitej oraz kontekst rozhuśtanych politycznie haseł „rewolucji moralnej” i „IV Rzeczypospolitej”. Czas eseistyki ma zupełnie inny rytm niż czas politycznej taktyki, a gdy nadmiernie zbliżają się one do siebie, staje się to szkodliwe dla pisarzy, nie dla polityków. Wiek miniony stanowi nieprzebraną kolekcję takich szkód – i to po wszystkich stronach wszystkich ówczesnych barykad. Jeśli natomiast chodzi o polemistów, a raczej negatywistów, to zapewne, pomni tamtych przykładów, reagują alergicznie na polityczne identyfikacje eseistów. Polityka historyczna nie jest bowiem tylko konceptem intelektualnym, jest też programem partii rządzącej.

Mam jednak wrażenie, że w reakcjach tych działa także uraz albo raczej nawyk głębszy. Negatywiści jakby czuli, że muszą wydobyć się z tych kolein myślowych, a nawet uczuciowych, w jakich zwykli świat, a zwłaszcza Polskę ujmować, i dlatego reagują tak nerwowo. Koleiny te zostały wyżłobione przez odwieczne u nas, lecz przestarzałe już opozycje: swojskość – cudzoziemszczyzna, zaścianek – świat, polonizm – europeizm, nacjonalizm – kosmopolityzm itd., itp. Nie przeczę istnieniu tych opozycji – w mentalności zastanej są one bowiem nadto realne. Twierdzą natomiast, że są przestarzałe i nie wyczerpują repertuaru postaw współczesnych. Opozycje same mają rodowód rozbiorowy i są umysłowymi oraz mentalnymi stygmatami niewoli i jako takie powinny zostać przekroczone. Trzeba z nich wyjść, choć nie stanie się to przez polityczny sezon ani doraźną denominację. Współczesna zmiana polskiej sytuacji historycznej sięga swą głębią epoki przedrozbiorowej, wymaga przeto innych intelektualnych odniesień. Tej głębi zresztą nie doceniają zarówno rzecznicy polityki historycznej, jak i jej przeciwnicy – wzajemnie się spływając. Trzeba się wznieść ponad tę wzajemność.

* * *

Jak jednak pisać, a także uprawiać politykę historyczną, cokolwiek nazwa ta miałaby znaczyć, nie uprawiając jednocześnie propagandy oraz manipulacji, tego nie wie nikt. Jedynie Norman Davies, co prawda polonofil, lecz wolny od wschodnioeuropejskich urazów historyk brytyjski, nie myli propagandy z manipulacją. Mówi on tak: uprawianie historii jest nieodłącznie związane z jej propagowaniem, a taka forma propagowania jak popularyzacja należy do obowiązków historyka. Wschodnioeuropejskim urazem jest to, że propaganda kojarzy się z manipulacją, nie z popularyzacją. Popularyzacja upowszechnia prawdę historyczną, manipulacja ją fałszuje, a to jest różnica nieprzekraczalna. W czasach minionych manipulowano sprawą Katynia – albo usiłując odwrócić odpowiedzialność, albo ją przemilczeć. Popularyzuje się dzisiaj wiedzę o powstaniu warszawskim i propaguje nową wobec niego postawę. Zarówno wiedza, jak i postawa są dyskusyjne, ale manipulacji w tym nie widzę żadnej. Norman Davies w swoim dziele o tym powstaniu wpisuje je pełniej niż ktokolwiek przed nim w kontekst historii globalnej i część zakrytej dotąd prawdy odsłania. Propaganda związana z popularyzacją różni się tak od propagandy związanej z manipulacją jak demokracja od totalitaryzmu: tu swobodna konfrontacja wielu opinii, tam przymusowy dyktat jedynowładcy. Nie sądzę, żeby ta ostatnia różnica miała zostać w Polsce zniesiona, dlatego nie lękam się propagowania historii. Choć, rzecz jasna, najpierw chcę wiedzieć, jaka to ma być historia? I nie zrzeknę się udziału w redagowaniu odpowiedzi.

* * *

W pojęciu „polityka historyczna”, według mojego rozeznania, splatają się i zacierają kontury trzech jej zakresów. Po pierwsze – jest to polityka zakresu wąskiego, takiego, w jakim przeważnie poruszają się władza, administracja i dziennikarstwo. Promuje się doraźnie określone wydarzenia i osoby, wiążąc z tym rozdawnictwo nagród i odznaczeń, przywilejów i tytułów. Inne natomiast wydarzenia i osoby się lustruje – w nowych sensach tego starego słowa. Politykę taką uprawia każdy rząd i każda administracja, nie mogą się też obyć bez niej media masowe, ale nie musi mieć ona jakichś głębszych uzasadnień, często pozostaje skryta i służebna, granicząc z manipulacją. Jako taka nie budzi głębszych zbiorowych emocji i rzadko wywołuje autentyczną ciekawość publiczną – nawet gdy podgrzewa się ją jawną promocją i sprzęgą, jak dzieje się teraz, z głośną lustracją. W społeczeństwie naszym przyzwyczajonym przez długie lata PRL do instrumentalizacji tego zakresu polityki historycznej panuje wobec niej odczuwalne zobojętnienie: „znowu ONI sobie coś załatwiają”. Sądzi się dość powszechnie, że każda kolejna ekipa rządząca ma swój własny klub nominatów i swoją własną „strefę medalową”. Nawyków tych nie przełamano w III Rzeczypospolitej, choć wieńczono nierzadko prawdziwe wielkości historyczne. Każdy więc, kto inicjuje taką politykę historyczną i wkracza do „strefy medalowej” z własną listą preferencji, musi się liczyć z tym ciężarem historycznych nawyków oraz z lizusami, którzy zaczną przepowiadać pogodę w imię Królowej Korony Polskiej.

* * *

Polityka promocji i lustracji, jeśli nie ma być podejrzewana o zwykłą rządową instrumentalizację, powinna być powiązana z polityką historyczną w zakresie średnim. Tutaj chodzi o coś więcej niż tylko o

awanse i degradacje – wkraczamy bowiem w sferę wartości i symboli, konstrukcji pamięci i wyboru tradycji, tworzenia lub też odtwarzania tożsamości zbiorowej, w tym narodowej. Ten rodzaj myśli i działań wnika bardziej intensywnie w życie publiczne i świadomość zbiorową, ponieważ jego domeną jest to, co powszechnie widziane i odczuwane – nazewnictwo ulic i placów, szkół i uczelni, uroczyste obchody i rytuały państwowe, wznoszenie pomników i budowa muzeów. Aleję Świerczewskiego zamieniamy na aleję Solidarności, szkołę imienia Związku Walki Młodych na szkołę imienia Szarych Szeregów, likwidujemy Święto Odrodzenia i wznawiamy Święto Niepodległości, wznosimy pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie i budujemy Muzeum Powstania Warszawskiego. Jeśli nie mają to być tylko rutynowe zamiany, stanowiące poniekąd historyczny rewanż, muszą tworzyć spójną kompozycję, która zarysuje ważną konstrukcję pamięci i nowy wybór tradycji. Jeśli, z kolei, kompozycja ta nie wykroczy poza opozycyjne odniesienia wobec politycznych adwersarzy minionego okresu, konstrukcja będzie krucha, a wybór pozostanie średni. Politykę historyczną określi negatywnie odpowiednio przykrojone dziedzictwo III Rzeczypospolitej, utożsamione głównie ze spadkiem po PRL. I zaraz rozpocznie się patriotyczna licytacja, choć jeszcze nie wiadomo, na czym ma się opierać współczesny patriotyzm. Dyskusja o ideowym kształcie Muzeum Historii Polski dopiero się zaczyna, ale wychowanie patriotyczne już wprowadza się do szkół.

* * *

Jest też trzeci zakres polityki historycznej, mianowicie – wielki, i to on zasługuje na uwagę i powagę. Jeśli zakres mały jest przede wszystkim domeną administracji i układów, drugi – władz i opinii, to trzeci przynależy wszystkim, ze szczególnym wyróżnieniem tych, którzy

tworzą wizję dziejową, przez Jerzego Giedroycia nazywaną wizją polityczną. Twórcy takiej wizji inspirują polityków, animują publicystów, edukują nauczycieli, a za pośrednictwem ich wszystkich kształtują świadomość zbiorową. Wizja dziejowa obejmuje całość historii (w tym przypadku – polskiej), a więc przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Solidarność niepodległej Polski z niepodległą Litwą, Ukrainą i Białorusią odsyła nas do tradycji jagiellońskiej, ale solidarność ta będzie osiągalna i stworzy nową jakość dziejową w Europie i w świecie, jeśli tradycję tę wyzwoli się z wszelkich postaci dominacji i paternalizmu.

Przykład ten, nazbyt zwięźle tu przywołany, pokazuje, że wielka polityka historyczna operuje wizją przyszłości i sięga głęboko w przeszłość. Oznacza ona zazwyczaj rekonstrukcję całego zastanego układu pamięci i tradycji, a rekonstrukcja taka bywa konieczna w obliczu fundamentalnych zmian historycznych. Jest prawdą oczywistą i utrwaloną, że takie zmiany historyczne dokonały się w latach 1939 – 1945, a w ich epicentrum znalazła się Polska, co zrodziło konieczność podjęcia wielkiej polityki historycznej. Podjęli ją na emigracji, dysponując tylko piórem i drukiem, Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski, a rekonstrukcja dokonana przez nich i całe środowisko „Kultury” inspiruje nadal naszą wizję przyszłości. Tylko taka wizja może ująć nasze dzieje w spójnej narracji i nadać trwałą sens „polityce historycznej”.

* * *

Jest też prawdą niezaprzeczną, choć mniej utrwaloną, że analogiczne co do zakresu, lecz przeciwne co do kierunku, a na pewno fundamentalne zmiany zaszły w Europie pod koniec XX wieku i w ich epicentrum ponownie znalazła się Polska.

Idąc tropem polityki historycznej, można zaraz zapytać: co to znaczy „znalazła się”? Została do tego epicentrum zepchnięta albo do niego wrzucona czy też epicentrum to wytworzyła lub przynajmniej współtworzyła? W przypadku krajów takich jak Polska, których kształt terytorialny oraz status historyczny bywał skrajnie zróżnicowany, pytania o formy gramatyczne, w jakich mają być opowiadane ich dzieje, nie są lingwistyczną fanaberią – są pytaniami o historyczną podmiotowość, i już. W przypadku narodów takich jak nasz, które były ciągle zagrożone, a na niepodległość musiały wielokrotnie się wybijać, pytanie o historyczną podmiotowość jest pytaniem o istnienie. Zwłaszcza wtedy, kiedy podmiotowość ta wcale nie jest pewnikiem dla sąsiadów i części opinii światowej. Nikt nas dziś nie straszy „państwem sezonowym” i „bękartem traktatu wersalskiego”, ale formalne uznanie niepodległości nie jest tożsame z uznaniem podmiotowości (sławetne odezwanie Chiraca wymownie to ilustruje). Odegraliśmy własną rolę w Kijowie, co w Moskwie nie było do pomyślenia. Dlatego udziela się nam szczególnych pouczeń – nie tylko rurą, również rzeźnią. Ważniejsza od tych żalosnych rozgrywek jest jednak rywalizacja symboliczna, bo symbole są bezpośrednio związane z ocenami i wartościami. Kiedy naprawdę rozpoczęła się II wojna światowa – 1 września 1939 roku czy 22 czerwca 1941? Czy w Warszawie były dwa powstania – 1943 i 1944 – czy też jedno, i które? Co jest symbolem jesieni narodów – zamknięta brama Stoczni Gdańskiej czy rozebrany mur berliński? Jeśli rozbieżność takich symboli, a co za tym idzie, wartości i ocen, jest zbyt duża, nasza

podmiotowość historyczna staje się wątpliwa. Dlatego trzeba ją umacniać, podejmując rozmyślnie rywalizację symboliczną. Ale musi być ona suwerenna, a nie reaktywna: jak oni nam, to my im!

* * *

W epicentrum wydarzeń końca wieku XX nie znaleźliśmy się przez przypadek ani przez wtrącenie – sami je, w znacznej mierze, stworzyliśmy. Trwa i trwać będzie nieskończenie spór o wkład wyróżnionych czynników tych zmian – polski papież i Kościół katolicki, opozycja demokratyczna, samoorganizacja pracownicza, ale wszystkie one zjednoczyły się w ruchu społecznym „Solidarność”, któremu nie tylko my przyznajemy sens uniwersalny. Ci, którzy w sens ten wąpili, mieli okazję przekonać się o nim niedawno na kijowskim Majdanie Niepodległości, a to na pewno nie koniec przyświadczeń. Zmiany były doprawdy fundamentalne: Polska i wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej odzyskały niepodległość, rozpadł się Związek Sowiecki, a z nim jego imperialne organizacje gospodarcze i militarne, Niemcy się zjednoczyły, podzieliły zaś Czechosłowacja i Jugosławia. Nie zmieniając miejsca, znaleźliśmy się w gruntownie nowym otoczeniu geopolitycznym, w którym żaden z naszych sąsiadów nie jest taki, jaki był przedtem, a z większością tych sąsiadów jesteśmy wspólnie w pakcie północnoatlantyckim i Unii Europejskiej. Nie tylko zmieniło się gruntownie nasze otoczenie, równie gruntownie zmieniliśmy się my sami – pokojowo, bez jednego wystrzału, dokonaliśmy rewolucji polityczno-ekonomicznej i żyjemy obecnie w kraju prosperującej gospodarki rynkowej oraz rozwiniętej demokracji politycznej.

Po co jednak to schematyczne sumowanie zmian, które wszyscy znają i które wszystkim też wydają się oczywiste? Po to, aby spostrzec, że oczywistość ta w codziennej szarpaninie politycznej oraz opinii medialnej i potocznej została starta na proch banału. Nigdy więc dość zmiatania tego prochu i odsłaniania znaczeń rdzennych – nasze czasy, w powszechnej skali zmian historycznych, porównywalne są tylko z latami dwóch wojen światowych i ich politycznych konsekwencji. Jeśli tak, to jest też prawdą, że zakończyły one epokę tego układu mocarstw europejskich, zwłaszcza sąsiednich, jaki trwał około trzystu lat i spowodował, między innymi, rozbiory Polski. Wybiliśmy się naprawdę na niepodległość, choć brak nam myśli odpowiednio niepodległej. Co oznacza wizję polityczną inspirującą spójną narrację historyczną.

* * *

Świadomego podejmowania i rozważania zatem, przemyśliwania i przeobrażania wymaga prawie cała nasza problematyka – w dziedzinie idei politycznych i społecznych, symboliki literackiej i artystycznej, a nawet postaw potocznych i nawyków psychicznych. Ponieważ prawie cała ta problematyka, i to zazwyczaj w swoich opozycyjnych wariantach, została ukształtowana wobec rozbiorów albo przynajmniej trwałego zagrożenia niepodległości. Bunt czy adaptacja, konspiracja czy kolaboracja, insurekcja czy ewolucja – oto na przykład opozycje, wskazujące podstawowe dylematy naszej sytuacji historycznej wieku XIX i znacznej części XX. Romantyzm i pozytywizm, jako postawy kulturalne, a nie tylko nurty literackie, są uogólnioną formą tych dylematów.

Jakie jednak znaczenie mogą mieć te dylematy w Europie Środkowej i Unii Europejskiej? Możemy się do nich najwyżej warunkowo odnosić, ponieważ uformowane zostały w świecie, w którym nie było Polski niepodległej oraz Europy Środkowej i Unii Europejskiej. Co zrobić z alternatywą: konspiracja czy kolaboracja – wobec Litwy, Słowacji, a nawet Niemiec współczesnych? Ani konspiracji, ani kolaboracji – tylko negocjacje. Z tego, oczywiście, nie wynika, że mamy te dylematy odrzucić, trzeba je natomiast odpowiednio zrelatywizować, bacząc, aby nie zamknęły nas w horyzoncie przeszłości wyznaczanym ongiś przez alians trzech czarnych orłów. Należy uroczyście obchodzić rocznicę Bitwy Warszawskiej, ale nie wolno sądzić, że retoryka cudu nad Wisłą otwiera bramy raj. Sceniczne aluzje do Rosji, którymi nasycona jest nasza literatura dramatyczna, nie ożywiają już widowni, a „Wielki Brat” kojarzy się z TVN, nie z ZSRR.

Musimy dokonać naprawdę gruntownej rekompozycji całego zastanego układu pamięci i tradycji, zwłaszcza dlatego, że jest on pokawałkowany i złożony ze sprzecznych nierzadko składników. Gruntowność tej rekompozycji sięga nie lat kilkunastu czy kilkudziesięciu, ale kilku wieków, a może i całego tysiąclecia. Przed kilku laty napisałem, że czeka nas „debaty tysiącletnia”, i nie mam powodu zmieniać tej opinii. Innymi słowy – w tej skali zmian historycznych, których epicentrum sami tworzyliśmy, jesteśmy zobowiązani do prowadzenia wielkiej polityki historycznej, a nie tylko średniej czy małej. Mamy stworzyć wizję polityczną, która uładzi naszą pamięć i uporządkuje tradycję oraz umożliwi spójną narrację o całych naszych dziejach. Wizji takiej nie da się jednak ustawowo uchwalić, rządowo zadekretować czy ministerialnie instruować – choć władze wszystkich szczebli mogą jej szkodzić lub sprzyjać. Niech się wsłuchują, a zarządzają rzeczami!

Wizja ta już się tworzy, i to nie od dzisiaj, pracą pokoleń można powiedzieć, metodą prób i błędów, a nie apodyktycznych oznajmień, powolnie, choć nie opieszale, w dziełach indywidualnych i aktach społecznych, w inicjatywach lokalnych i stowarzyszeniach regionalnych, w obchodach religijnych i rytuałach państwowych, ponieważ wszyscy czujemy, że stajemy się inni, w Polsce, jakiej dotąd nie było, i w Europie, jakiej też nie było. Ona się tworzy w dziele Jana Pawła II, celnie zatytułowanym „Pamięć i tożsamość”, i w Gdańsku historycznym i symbolicznym; kiedy podnosimy godność powstania warszawskiego i pochylamy się nad ofiarami Pawłokomy; w sejneńskim „Pograniczu” i w „Traktacie o łuskaniu fasoli” Wiesława Myśliwskiego. Co do mnie, widzę Polskę pulsującą tą twórczością – w gminach i miasteczkach, w szkołach i seminariach, na festynach i na cmentarzach. Roczny przegląd krajowych imprez kulturalnych może naprawdę zawrócić w głowie. W społeczeństwach zamierających pamięć zastyga w litanijskich rytuałach, a tożsamość spoczywa na marach. W społeczeństwach żywotnych pamięć jest ciągle poruszona, a tożsamość rzeźbiona. Trzeba jej strzec przed tandetnym odlewem.

Andrzej Mencwel

Rzeczpopolita, Plus Minus

Copyright by PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część jak i całość utworów nie może być powielana i rozpowszechniania w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (w tym także elektroniczny lub mechaniczny lub inny albo na wszelkich polach eksploatacji) włącznie z kopiowaniem, szeroko pojętą

digitalizacją, fotokopiowaniem lub kopiowaniem – bez pisemnej zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Jakikolwiek użycie lub wykorzystanie utworów w całości lub w części bez zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. lub autorów jest zabronione pod groźbą kary i może być ścigane prawnie.